

Sławomir Tomasz Roch
rycerzniebieski@wp.pl

„[...] Jeszcze brzęczały nam w uszach, te straszne słowa, a już otworzyły się nam także oczy i zobaczyliśmy, że po ogrodach i sadach całej niemal wsi chodzą sobie samopas zwierzęta, a nikt nie stara się je stamtąd przegnać. Jak okiem sięgnąć nigdzie nie mogłem dojrzeć nawet jednej żywej duszy, nie było widać nawet jednego dymka z kominka. To wydawało się nam rzeczywiście bardzo podejrzane i niezwykle groźne, w tej sytuacji szybko wróciliśmy do swojego domu i opowiedzieliśmy pozostałym ostatnie nowiny. Z tą chwilą wszystkich ogarnął wielki strach, siedzieliśmy przerażeni w domu i nigdzie, nawet na chwilę nie wychodziliśmy. Jednak jeszcze tego samego dnia, już z ukrycia zobaczyliśmy jak traktem tuż obok naszego domu, co chwilę jedzie ukraińska furmanka z rodziną, co ciekawe zaprzęgnięta w konie, należące jeszcze niedawno do polskich gospodarzy. A muszę tu podkreślić, że znaleźliśmy te konie bowiem nasza łąka przylegała przez Turie do pastwisk Polaków z Dominopola, dlatego nie mieliśmy większych kłopotów z ich rozpoznaniem. [...] „ Antoni Sienkiewicz

WSPOMNIENIA ANTONIEGO SIENKIEWICZA Z KOLONII PIŃSKI MOST W POWIECIE WŁODZIMIERZ WOŁYŃSKI NA WOŁYNIU 1930 - 1944

Nazywam się Antoni Sienkiewicz mam 82 lata, mieszkam we wsi Moroczyn 56, gm. Hrubieszów, powiat Hrubieszów. Urodziłem się 20 lutego 1921 r. w kolonii Piński Most, gm. Werba, powiat Włodzimierz Wołyński. Mój tato miał na imię Michał, a mama Józefa z domu Świstowska. Moja rodzina była polską, miałem trzech braci i jedną siostrę, najstarszy był Hipolit z 1910 r., druga była Leokadia z 1913 r., trzeci był Kazimierz z 1916 r., czwartym dzieckiem byłem ja z 1921 r., najmłodszy był Eugeniusz z 1923 roku. Jako młody chłopak miałem wielu kolegów, przeważnie Polaków, choć jeden był Ukraińcem, nazywał się Piotr Romaniuk i pochodził z kolonii Zarudle. Piński most to była mała kolonia polska, w której mieszkało tylko 12 gospodarzy, ale nie w ilości siła. A jakości w naszej kolonii nie brakowało bowiem kilku z nich, należało do elitarnej organizacji, która nazywała się: „Krakusy”. Należało tam dwóch moich rodzonych braci: Hipolit i Kazimierz oraz Stanisław Hyps i Józef Świstowski. Każdy z nich posiadał swojego konia, swoją Lancę i szablę oraz inne potrzebne wyposażenie. Przed wojną nie raz, przeważnie w niedzielę, mogłem ich podziwiać, właśnie tak jeżdżących i ćwiczących. Na polu Stacha Hypsia była „ujeżdźalnia” i pamiętam dobrze, jak wielu kolegów przyjeżdżało do nich, aby poćwiczyć, czasami nawet z dość oddalonych miejsc. Dla przykładu z Marianopola przyjeżdżał pan Rak, z Mikołajówki pan Stasilewicz, z Turii pan Dobrowolski, a ich szefem był pan Abramowicz lat około 40, który był z Dominopola. Wszyscy należeli do szwadronu Kawalerii we Włodzimierzu Wołyńskim skąd też otrzymali potrzebne wyposażenie. Pamiętam, że kiedy się ładnie ubrali to naprawdę było na co popatrzeć, mi osobiście bardzo się podobały specjalne koce pod siodło, na których były białe czerwone chorągiewki i po jednej i po drugiej stronie konia.

Ludności ukraińskiej u nas nie było, za to mieszkała u nas jedna rodzina żydowska o nazwisku Szłoma. Stary Żyd miał lat około 70, a jego żona około 65, mieli też trzech synów: Dawid lat około 35, Herszko lat około 30 i Moszko lat ok. 25 oraz jedną córeczkę, której było na imię Łejka lat około 17.

POD SERCEM MARYJI ZE SWOJCZOWA

Dla Królestwa Niebieskiego narodziłem się w Kościele p.w. Narodzenia Najświętszej Marii Panny w Swojczowie, gdzie już od wieków czczony był łaskami słynący wizerunek Matki Bożej Śnieżnej. Tam też przystąpiłem do pierwszej Komunii Świętej oraz do sakramentu dojrzałości chrześcijańskiej, do dziś bardzo dobrze pamiętam ten dzień, kiedy udzielono mi sakramentu Bierzmowania. Wraz z licznymi kolegami spotkaliśmy się już przed naszym Sanktuarium, było nas dość dużo i byliśmy poubierani w piękne świąteczne ubrania,

ale przecież i chwila jak najbardziej stosowna. Potem razem z księdzem weszliśmy do Kościoła, przybył do nas też ksiądz biskup, który osobiście udzielał nam sakramentu Bierzmowania. Kiedy podszedł do mnie i zobaczył moje kalectwo, stała przy mnie moja mama i powiedziała, że błaga, że modli się o zdrowie dla mnie i o moja niepewną przyszłość. Bardzo martwiła się, jak ja sobie dam radę w życiu. Tymczasem ksiądz biskup pogłaskał mnie czule po głowie i powiedział: „**Wszystko w mocy Boga, to nic nie szkodzi, może długo żyć.**” I proszę żyję do dziś, mam się całkiem dobrze i moja rodzina także, choć przecież czasy, w których przyszło mi zmagać się ze zwykłą codziennością, rzeczywiście nie należały do najłatwiejszych. Muszę jednak podkreślić, że w najtrudniejszych chwilach zawsze uciekałem się do naszej umiłowanej Matki Bożej Swojczowskiej, a ona zawsze wspierała mnie swoją macierzyńską pomocą. Nawet w dzisiejszych czasach, kiedy tylko mogę, jadę 08 września na uroczysty odpust do Otwocka pod Warszawą. Właśnie tam znalazł swoje miejsce nasz cudowny wizerunek przeczystej i niepokalanej Panienki ze Swojczowa i tam też od lat, pielgrzymują nasze wołyńskie rodziny.

To już losy powojenne, póki co w ołtarzu głównym w naszym Kościele wciąż znajdował się ukochany Obraz Matki Bożej Swojczowskiej. Zwykle zasłonięty był innym obrazem, przedstawiającym Pana Jezusa unoszącego się w powietrzu, a pod nim na ziemi leżało 3 albo 5 ludzi i patrzyli w górę. To było chyba Zesłanie Ducha Świętego. Gdy obraz był odsłaniany, śpiewano piękną pieśń, my w tym czasie klęczeliśmy, a ministranci pięknie dzwonili dzwoneczkami. Obraz odsłaniał kościelny kręcać korbką, która znajdowała się po lewej stronie Ołtarza, natomiast zakrystia znajdowała się po prawej stronie Ołtarza. W naszym Kościele nie było pięknej tradycji obchodzenia Ołtarza do około, którą można spotkać w innych znanych sanktuariach maryjnych i dawniej i dziś. Oprócz Ołtarza głównego w naszej świątyni było jeszcze dwa piękne ołtarze boczne, ale nie pamiętam już dziś komu były poświęcone. Przy jednym z nich, niekiedy modlił się ks. Symon, przeważnie przyjeżdżał do nas na Odpust. Po wojnie służył w Horodle w kościele św. Jacka i Matki Bożej Różańcowej.

KOCHALIŚMY ŚPIEWAĆ NA WOŁYNIU

Warto dodać, że przy naszym Kościele w Swojczowie był przepiękny chór złożony już z dorosłych osób, które ładnie potrafiły śpiewać, przy czym wtórowały im nasze piękne parafialne organy. Maryjny kult mocno promieniował nie tylko na Swojczów i naszą okolicę, a objawiało się to, nie tylko Ignieciem wiernych do maryjnych nabożeństw, ale przede wszystkim zamiłowaniem do pieśni religijnych, ale i wszystkich innych. W tamtych czasach na Wołyniu naprawdę kochano śpiewać, kochano te wspólne rodzinne spotkania i wieczory kiedy płynęła z piersi radosna i rześka pieśń patriotyczna. To był zarazem piękny model wychowania i niezwykła, swoista kultura i to zarówno Polaków jak i Ukraińców, wszyscy śpiewali. Poszczególne święta w roku miały swoje obrzędy i oczywiście pieśni. Jeszcze przed wojną jako młody chłopak, sam wykonałem gwiazdę i wraz z kolegami chodziliśmy po naszej kolonii oraz po sąsiednich wsiach i kolędowaliśmy. Pamiętam, że wraz ze mną chodził Antoni Dobrowolski z kolonii Piński Most oraz parobek u sąsiada, który nazywał się Wieszcak. Kolędowaliśmy przeważnie w koloniach Wandywola i Zarudle, omijaliśmy natomiast bliski Dominopol bowiem tam było dużo podobnych grup, a więc duża konkurencja. W tej pięknej i kultywującej tradycje wsi, wierni robili nawet przedstawienie nazywane: „Herody”, w którym występowały takie postacie jak: śmierć, diabeł rogaty, Marszałek Polski Józef Piłsudski i sam Herod. Nie chodziliśmy dla pieniędzy, raczej dla radości, że w ten sposób mamy drobny wkład w podtrzymywanie pięknych tradycji, śpiewania pięknych kolęd polskich. To zawsze dodawało nam skrzydeł, dlatego kolędowaliśmy nawet podczas II wojny światowej i właściwie nikt, z tego powodu nie robił nam przykrości. Niektórzy w naszych stronach kolędowali jeszcze w roku 1942 r. .

ODPUSTY W SWOJCZOWIE

Największe uroczystości zawsze gromadziły w Swojczowie tłumy wiernych, którzy przyjeżdżali nawet z odległych stron. Szczególnie Odpusty stawały się takim czasem, kiedy mogliśmy spotkać wielu gości, a było u nas dwa odpusty, mniejszy przypadał 15 sierpnia na Matki Bożej Wniebowziętej i trwał tylko jeden dzień. Drugi wypadał 08 września w święto Narodzenia Najświętszej Marii Panny i ten był najważniejszym Odpustem w naszej parafii, który trwał przez trzy dni. Pamiętam, że trwało wtedy uroczyste 40-godzinne nabożeństwo, które zaczynało się o godzinie 18.00 nieszporami, dwa dni przed właściwym Odpustem. Następnego dnia, t.j. 07 września modlitwy trwały przez cały dzień, a nasi wierni z nadzieją i wiarą powierzali Maryi swój los, swoje życie, powołanie, codzienne troski i kłopoty.

W tych dniach, przychodziły do Swojczowa pieszne pielgrzymki z takich miejscowości jak: Horodło nad Bugiem, Sielec, Poryck, Kisielin, a nawet z odległego Sokala. Wiele razy widziałem, jak Ci radości i rozmodleni pielgrzymi, całymi grupami wchodziłi do naszej wsi, aby pokłonić się naszej pięknej i dobrej Królowej. Na ich czele zwykle kroczył kapłan, gdy byli już blisko na przeciw nich wychodził nasz proboszcz ks. Franciszek Jaworski, w otoczeniu wielu wiernych naszej parafii i radośnie witał w Imię Jezusa Chrystusa, przybyłych pielgrzymów, niemal całował pobożnie ich błogosławione stopy. Uroku tej chwili przydawały jeszcze, radośnie bijące dzwony w przykościelnej dzwonnicy. Trzeciego dnia, tych wielkich świąt w naszej parafii, były już wokół Kościoła prawdziwe tłumy wiernych, rozradowanych i religijnie rozśpiewanych. Ludzie jak zwykle przybywali ubrani bardzo odświętnie, a zarazem bardzo różnie, było więc wesoło i kolorowo. A muszę dodać, że mieliśmy tam na Kresach, piękną i postawną młodzież, chłopcy rośli, a dziewczęta urodziwe. Tak więc choć plac przykościelny był naprawdę dość duży, mimo wszystko, niemal cały zapełniał się furmankami, tak że wielu z tych, którzy przybyli później, musiało już korzystać z łąki naszego organisty, Polaka o nazwisku Jakubicki.

Szczególnie uroczysta była procesja, która odbywała się zarówno podczas małego, jak i wielkiego Odpustu. Jak zawsze na koniec nabożeństwa szliśmy radośnie dookoła naszej świątyni, chyba 3 razy, a razem z nami kroczył sam Pan Jezus. Ludzie nieśli wtedy zwykle nasze sztandary oraz obrazy, a dziewczynki, które w tym roku przystąpiły do pierwszej Komunii Świętej, sypały wdzięcznie kwiatki. Biły radośnie dzwony, a ludzie wyjątkowo głośno i radośnie śpiewali. Na koniec, jak w zwykłe, już w Kościele wszyscy otrzymywali szczególne błogosławieństwo, połączone z odpustem zupełnym pod zwykłymi warunkami.

Oczywiście jak Odpust, to tak jak i dziś, tak i w tamtych czasach, zjeżdżało się wielu handlarzy, którzy rozstawiali swoje kiermasze. Tam to dopiero był ruch i prawdziwy jarmark, który robiły przeważnie dzieci, uradowane tak wymyślnymi słodyczami i przeróżnymi zabawkami. Jeden z mieszkańców Wólki Swojczowskiej, która przylegała do Swojczowa Ukrainiec Aleksiej Wydychaj, wpadł na dobry pomysł i postanowił zrobić dobry interes na tych tłumach ludzi. Jako zdolny człowiek zbudował karuzelę, którą w tych dniach stawiał na placu przykościelnym, widać miał pozwolenie księdza i robił na tym niezłe pieniądze, a dzieciaki miały przy tym dodatkową radochę. Karuzela była oczywiście napędzana ręcznie przez same dzieci. Ponieważ nie mieliśmy swojej rodziny w Swojczowie, zaraz wracaliśmy spieszenie do swojego rodzinnego domu, na smaczny i uroczysty obiad

POBOŻNI NAUCZYCIELE I DOBRA SZKOŁA

W Swojczowie służyłem wiele razy do Mszy Świętej jako ministrant, a zawdzięczam tę łaskę naszym wspaniałym nauczycielom ze Swojczowa, którzy w każde święto prowadzili nas czwórkami, na godzinę 9.00 rano do Kościoła na Mszę Świętą. Była poza tym zrobiona lista, według której kolejne osoby służyły przy ołtarzu, to mi się bardzo podobało. Nie był to jedyny przejaw głębokiej wiary i patriotyzmu naszych wychowawców i nauczycieli. Bardzo miło wspominam także lekcje prowadzone przez naszego dyrektora szkoły, Polaka Stefana

Stępień, który o ile dobrze pamiętam, uczył nas języka polskiego. Gdy rozpoczynał lekcje mówił krótko: „modlitwa”, wtedy wszyscy wstawali w klasie w swoich ławkach, a on odwracał się przodem do tablicy nad którą wisiał Krzyż i wspólnie głośno odmawialiśmy modlitwę, oto jej słowa: „*Duchu Święty, który oświecasz serca i umysły nasze, dodaj nam ochoty i zdolności, aby ta nauka była pożytkiem doczesnym i wiecznym przez Chrystusa Pana naszego Aman.*” Potem wszyscy siadaliśmy na swoich miejscach i trwała normalna lekcja, sytuacja powtarzała się, gdy kończyliśmy już swoją naukę. Znowu wspólnie odmawialiśmy modlitwę, tym razem dziękczynną, dopiero po niej szliśmy do domu. Modliliśmy się wspólnie i nikt się temu nie sprzeciwiał, chociaż w mojej klasie, była nawet jedna Żydówka oraz dwóch Żydów. Jeden z nich miał na imię Abram, a drugi Herszko, obaj pochodzili ze wsi Widełka, od strony Włodzimierza, to były wysokie chłopaki, ale nie wiem co się później z nimi stało. W mojej klasie byli też Niemcy, w tym Herman Negier z kolonii niemieckiej Wandywola oraz Ukraińcy, dla przykładu Liwiniuk ze wsi Wólka Swojczowska. Szczerze mówiąc nie wiem czy modlili się razem a nami, ale nie pamiętam, aby kiedykolwiek żalili się, że ich ktoś prześladowuje, albo składali jakieś protesty do dyrekcji naszej szkoły. W szkole odbywała się także religia, przychodził do nas ks. Franciszek Jaworski, a do młodzieży ukraińskiej pop prawosławny ze Swojczowa. Niedaleko szkoły, tylko zaledwie 50 metrów, była wysoka, drewniana i piękna Cerkiew, pamiętam że była pomalowana na zielono i pokryta blachą.

DZIEŁO DOBREGO PASTERZA

Pierwszego kapłana, którego pamiętam w Swojczowie, to był ksiądz Kurowski, ale niestety jego posługa spotkała się z krytyką naszych parafian. Wtedy przyszedł do naszego Kościoła ksiądz staruszek, który tym bardziej, nie dawał sobie rady z posługą w tak wielkiej parafii. Wiem o tym dobrze ponieważ, nasi parafianie publicznie o tym dyskutowali wiele razy. Dopiero gdy do Swojczowa przyszedł ks. Franciszek Jaworski, nasza parafia zaczęła tętnić życiem, już od pierwszych dni można było zauważyć, że wspaniale się u nas czuje i doskonale daje sobie radę. Nasi ludzie także bardzo go polubili i chętnie udzielali wszelkiej pomocy przy rozwoju naszej parafii. Jednym z pierwszych jego dzieł, była więc aktywizacja Kościoła, który budują przeciw parafianie i ich rozmodlone serca, potem były następne. Dla przykładu nowa, ładna kaplica zbudowana tuż obok naszej świątyni, o ile dobrze pamiętam poświęcona była Matce Bożej. Stała po lewej stronie Kościoła i była zwrócona przodem do ołtarza głównego. Ks. Franciszek poszerzył też plac wokół Kościoła oraz zbudował na zewnątrz poddasze, pod którym księża spowiadali tłumy wiernych, szczególnie w czas niepogody. Obok Kościoła stała też murowana, piękna i zabytkowa dzwonnica. Były tam 3 dzwony, jeden z nich był tak duży, że słycać go było bardzo daleko, nawet na odległość 15 km. Niektórzy parafianie mówili, że dzwony ze Swojczowa słycać nawet we wsiach Kowalówka i w Budy Osowskie. Gdy jednej zimy, około 1929 r., mrozy w naszych stronach dochodziły nawet do 40 stopni, jeden z tych dzwonów nie wytrzymał i pękł, wtedy odlaliśmy nowy dzwon. Każdy z nich miał swoje imię, a jeden to był chyba Bartek.

Do piwszej mojej szkoły chodziłem do niedaleko położonej, dużej i pięknej wsi polskiej Dominopol. Tam pod Lasem Świnarzyńskim znajdował się duży drewniany dom pod blachą, który należał do gospodarza Pawła Buczko. Pan Buczko wynajmował swój dom dla potrzeb naszej 4 – klasowej szkoły. Oczywiście w szkole miałem bardzo wielu kolegów i koleżanek, ale znowu prawie wyłącznie Polaków bowiem na około 120 rodzin mieszkających w Dominopolu, prawie wszyscy byli narodowości polskiej. Mieszkało tam tylko dwie rodziny ukraińskie: Stefana Dubczuka i Teodora Dubczuka.

DOMINOPOL – PERŁA WOŁYNIA

Pamiętam, że bardzo lubiłem ludzi z Dominopola bowiem pięknie potrafili śpiewać i to zarówno podczas różnych uroczystości, jak i w swoich rodzinnych domach. Bardzo miło

wspominam także te chwile, kiedy wraz z nimi gromadziłem się przy figurze, stojącej w środku samej wsi. To był nowy, wysoki i piękny Krzyż z drzewa przy którym w maju śpiewaliśmy nabożeństwo majowe. Drugi Krzyż w tej wsi, stał tuż obok naszej szkoły przy drodze do ukraińskich wsi: Wołczak i Rzewuszki, jeszcze dziś przypomina mi się ten zwyczaj zdejmowania tam naszych czapek. Ponieważ w Dominopolu naprawdę ludzie pięknie potrafili śpiewać, zauważył to także nasz nauczyciel z Teresina i utworzył młodzieżowy chór, w którym dużo śpiewano, nawet na głosy. Także ja trafiłem do tego chóru, śpiewaliśmy raz w tygodniu w szkole. Nasz repertuar obejmował najróżniejsze pieśni, w tym patriotyczne i religijne, ale ja najmilej wspominam kolędy na uroczystość Bożego Narodzenia.

W Dominopolu zawiązała się i aktywnie działała organizacja szlachty zagrodowej, która podtrzymywała tradycje szlacheckie i polskie. Widziałem jej przedstawicieli, jak wiele razy brali udział w uroczystościach z okazji narodowego Święta 3 Maja przy naszym kościele parafialnym w Swojczowie. Do tej organizacji należały takie rodziny jak: Potoccy, Ulerycy, Turowscy, Wasilewscy, Magreccy, Buczki, Traczyńscy i Zawadźcy.

W tym czasie moim najlepszym przyjacielem był Stanisław Czyżewski z 1921 r., Polak z kolonii Zarudle, z którym razem chodziłem do jednej klasy. To były bardzo radosne lata, często bywałem gościnnie u moich kolegów w ich domach, najczęściej oczywiście w Dominopolu. Miałem więc wiele okazji, aby dobrze przyjrzeć się ludziom, którzy tam mieszkali i zauważyłem, że to byli bardzo dobrzy i spokojni ludzie. Przed wojną nie przypominam sobie, aby między Polakami i Ukraińcami w naszych stronach panowała jakaś niezgoda czy choćby wzajemna niechęć. Było bardzo spokojnie i panowała zgoda, poza tym Ukraińców spotykałem raczej bardzo rzadko i siłą rzeczy nie mogłem mieć do nich jakiś uprzedzeń.

Gdy ukończyłem 4-klasową szkołę w Dominopolu swoją naukę kontynuowałem w niedalekim Swojczowie, gdzie zaliczyłem jeszcze 3 klasy. Tym razem do szkoły miałem już 4 km, latem chodziliśmy na piechotę, a zimą jeździliśmy tam saniami. Był to wiek, kiedy ja i moi koledzy mieliśmy szereg różnych zainteresowań, a które mieliśmy wielką ochotę rozwijać. Dla przykładu, żywo interesowaliśmy się rolnictwem i braliśmy udział w różnych kółkach problemowych. Po ukończeniu nauki w Swojczowie miałem więcej czasu na pomoc w naszym domowym gospodarstwie, podjąłem też naukę w zawodzie szewskim. Bardzo chciałem nauczyć się dobrze robić buty i w tym celu całą zimę chodziłem do kolonii Wandwola. Pobierałem tam naukę, u mojego kolegi Karola Pietruszka, który był dwa lata starszy. W 1940 r. Sowieci powołali Karola do swojej armii i od tej pory wszelki śluch po nim zaginął. Wydaje mi się, że zginął jak wielu innych, podczas krwawej wojny w Finlandii. Niedługo później, podjąłem też pracę jako sprzedawca we wsi Dominopol. Sklep w którym sprzedawałem najczęściej artykuły spożywcze, należał do Spółdzielni Rolniczej „Zgoda”, miałem wtedy okazję, jeszcze bliżej poznać te rodziny, które i tak już bardzo dobrze znałem z mojego dzieciństwa. Po jakimś czasie znałem i to dobrze, właściwie wszystkich mieszkańców w tej, tak bardzo polskiej wsi.

Jako młodzieniec, mimo mojej wrodzonej wady stóp, nie stroniłem od rozrywki i dobrego towarzystwa, dlatego często bywałem na imprezach i na potańcówkach, gdzie zbierała się młodzież. Podczas tych wieczorów nie przypominam sobie, abym spotkał się z jakimikolwiek aktami wrogości do Żydów czy Ukraińców. Może poza jednym przypadkiem. Był pewien Ukrainiec o imieniu Wasyl, który pochodził gdzieś od strony Świnarzyna. On rzeczywiście prześladował Żydów, ale do nas Polaków nie ujawniał żadnej niechęci. Wiem o tym dobrze ponieważ pasłem z nim krowy na łąkach nad rzeką Turią. W Dominopolu mieszkała także pani Rakowska, właścicielka młyna, który poruszany był siłą wody, ale także motorem spalinowym, prądu u nas wtedy jeszcze nie było. Pani Rakowska była już wdową i miała 3 córki: najmłodsza Ewa, wyszła za mąż za nauczyciela o nazwisku Stasiak. On właśnie posiadał radio lampowe i to on informował nas podczas wojny, o tym co się dzieje na froncie.

Tymczasem ja prawie do samej wojny pracowałem w sklepie w Dominopolu, w naszych okolicach wciąż było spokojnie. W końcu maja zastąpił mnie w sklepie Mirosław Turowski, a ja miałem wtedy więcej czasu na pomoc w pracach domowych.

WRZESIEŃ 1939 ROK

Pamiętam, że przed wybuchem II wojny światowej, głośno mówiło się naszej okolicy, że Niemcy żądają od Polski korytarza oraz większych wpływów w Wolnym Mieście Gdańsku. Wiedzieliśmy o tym z gazet, które ukazywały się na Wołyniu, w Swojczowie można je było nabyć na pocztę. Podczas mobilizacji w 1939 r. do armii polskiej powołani zostali moi bracia Hipolit i Kazimierz. Hipolit walczył chyba na Śląsku i potem dostał się do niewoli niemieckiej, w której przebywał prawie 6 lat, do końca wojny. Po wyzwoleniu wrócił do Polski i osiadł aż za Legnicą w miasteczku Śląska Góra. Tam go odnalazłem i razem wróciliśmy do Moroczyna gdzie już osiadł nasz brat Kazimierz, który otrzymał tu ziemię od państwa. Nieco inne były losy Kazimierza, który bronił Lwowa, został w końcu rozbrojony przez Sowietów, a następnie wrócił do naszego domu w kolonii Piński Most i tu przebywał do samej ucieczki w roku 1943.

Gdy we wrześniu 1939 r. trwała już wojna, w Dominopolu i w najbliższych okolicach wciąż było spokojnie, nie zauważyłem, a nawet nie słyszałem, żeby gdzieś Ukraińcy prześladowali Polaków, rozbrajali na drogach żołnierzy, czy wszczynali jakieś powstanie. Nie widziałem w tym czasie także, akcji wywieszania ukraińskich flag. Gdy po 17 września do naszej wsi weszły wojska sowieckie, pamiętam jak wiele ich wojska jechało traktem tuż obok naszej kolonii. Sowietci jechali wtedy do miasta Włodzimierz Wołyński, nawet wtedy Ukraińcy zachowywali spokój. Jest mi natomiast wiadome, że w wielu miejscach Ukraińcy i Żydzi budowali bramy powitalne, wywieszali czerwone sztandary i zakładali czerwone, komunistyczne opaski, cieszyli się w ten sposób z przybycia władzy sowieckiej, u nas jednak tego nie widziałem. Pamiętam także, jak jeszcze we wrześniu 1939 r. Sowietci zrzucali z samolotów ogromne masy ulotek, na których było napisane po polsku tak: **„Bierzcie widły, kosy i siekiery i bijcie panów polskich!”** Mnóstwo takich ulotek zrzucili także na naszą kolonię Piński Most, na Dominopol i na całą naszą okolicę. Widziałem jak wielu ludzi zbierało te kartki i czytali, także ja osobiście czytałem jedną z takich ulotek sowieckiej, zbrodniczej propagandy. Oczywiście nikt z nas nie wierzył Sowietom i nikt rozumny, nie traktował poważnie tego, o co do nas apelowali. Trzeba w tym momencie przyznać, że nawet Ukraińcy tym razem zachowali się biernie i na Polaków, nawet tych najbogatszych nie napadali.

SOWIECKI RAJ NA ZIEMI

Sowietci tymczasem sprawnie zabrali się za utrwalanie swojej władzy na naszej polskiej ziemi. Na początek zafundowali nam więc swoje wielkie dobrodziejstwo, zaczęli zakładać kolchozy, odbierając oczywiście ojcowiznę tysiącom ludzi, szczególnie tym majątniejszym. Nie było różnicy, czy ktoś był Polakiem, czy Ukraińcem, dla wszystkich „kułaków” byli jednakowo „hojni”, ich rodzinom za darmo fundowali szczególne „wczasy” na Syberii. To były straszne dni dla tych ludzi, zabierano ich przeważnie nocą, często zaskoczeni nie mieli właściwie czasu na to, aby się przygotować do tak ciężkiej, długiej i jakże morderczej drogi. Ładowani potem w bydłące wagony i wiezieni długimi tygodniami, przy trzaskającym mrozie, ginęli całymi rodzinami. Taki oto los zgotował człowiek, drugiemu człowiekowi, swemu batu.

Tymczasem los biedniejszych gospodarzy był nieco łżejszy, mogli nadal pozostać na swoich gospodarstwach i w swoich domach. Na szczęście do tej drugiej grupy zaliczała się także moja najbliższa rodzina, która gospodarowała na 8 ha ziemi. Ale już rodzony brat mojego taty Sebastian Sienkiewicz lat około 54, jego żona z domu Buczko lat około 50 oraz troje ich dzieci, w tym: Stanisław lat około 18, Józef lat około 8 i jeszcze jedna córka lat

około 13, wszyscy zostali wywiezieni na Syberię. Mroźną katorgę przeżył Józef i jego rodzice, którzy wydostali się wraz z armią gen. Władysława Andersa na zachód do Anglii, natomiast Stanisław i siostra zginęli. Stanisław został przygnieciony przez drzewo, a siostra zmarła na jakąś chorobę zaraźliwą. Stryj w jednym ze swoich listów pisał tak: „**Nad nami niebo, a przed nami las.**” Pisał to do nas, gdy jeszcze byli na Syberii i nikt nawet nie przypuszczał, że Anders może ich z stamtąd wyprowadzić. Potrzebowali żywności, ponieważ bardzo głodowali, bezzwłocznie wysłaliśmy im paczkę żywnościową. Tymczasem ku naszemu zaskoczeniu, niedługo później dostaliśmy list, w którym ponownie tak do nas napisali: „**Coście nam wysłali łupiny z kartofli?**” Niestety nie udało mi się do tej pory odnaleźć ich rodziny. Ich późniejsze losy znam z listu, jedyne jaki nadesłali do rodzzonego brata żony o nazwisku Buczko. To właśnie on dał nam znać po wojnie, że część rodziny Sienkiewiczów uratowała się i obecnie znajduje się w Anglii.

Pamiętam, że w tamtych czasach Polacy boczyli się już na Ukraińców i Żydów, bowiem wielu z nich donosiło na Polaków do komunistów, a ci z kolei wysyłali polskie rodziny na Syberię. W naszej okolicy we wsi Oseredek Nowy mieszkał bogaty Polak Aleksander Smyl ze swoją rodziną, był teściem dla moich dwóch rodzonych braci: Kazimierza i Eugeniusza. Kazimierz bowiem ożenił się z Czesławą z domu Smyl, która urodziła mu syna Henryka oraz córeczkę Bogusławę. Czesława przeżyła wojnę i żyła na Zamojszczyźnie, obecnie pochowana jest na cmentarzu w Szpikołosach. Eugeniusz tymczasem wziął sobie za żonę siostrę Czesławy Henrykę Smyl i mieli razem cztery córeczki: Irenę, Dzikę, Krystynę oraz syna Stanisława. Aleksander był bardzo bogatym człowiekiem i Sowietci zrobili z jego gospodarki kołchoz, przyjmując wielu ludzi do pracy, ale jemu samemu odmówili tego prawa. Dopiero zmuszony był pisać aż do Moskwy do Rady Najwyższej i prosić, aby mu pozwolono w tym kołchozie pracować. I rzeczywiście takie pozwolenie otrzymał, dopiero wtedy przyjęto go do pracy w jego własnym majątku. Tak to było z władzą radziecką.

W Dominopolu mieszkał pewien Polak o nazwisku Karagin, który bardzo gorliwie wysługiwał się Sowietom, wygadując przy tym o Polsce i Polakach różne bzdury i nieprawdy. Dlatego nikt go poważnie nie traktował, mówi dla przykładu tak: „*Polacy nie dawali mi tyka drzyć z łozy na postoly!*” Jego oskarżenia były więc naprawdę śmieszne i niepoważne. Podczas zebrań organizowanych przez komunistów w Dominopolu wydzierał się wniebogłose i wychwalał władzę sowiecką. W każdym razie, gdy na nasze ziemie weszli Niemcy, był jednym z pierwszych, który zgłosił się na ochotnika na roboty do Niemiec, widać bał się zemsty, czy jakiegoś odwetu za swoją wcześniejszą robotę.

Sowieci stworzyli swoją milicję, a porządku pilnowała NKWD, najbliższy posterunek NKWD był dopiero w Werbie i we Włodzimierzu Wołyńskim, w samym Dominopolu i w najbliższej okolicy nie było. Władzę w imieniu Sowietów sprawował „procidatiel”, w Dominopolu był nim sołtys Aleksander Dubczuk. Poza tym nasze życie nie uległo większym zmianom, pracowaliśmy i nadal chodziliśmy do Kościoła w niedzielę i w większe święta. Sowietci nie robili utrudnień, także Ukraińcy wciąż zachowywali się spokojnie, wszyscy bali się okropnie, aby w najmniejszym stopniu nie narazić się na wywózkę, na straszną Syberię.

CZERWIEC 1941 ROK

Ponieważ często słuchaliśmy radia Wolna Europa u pana Józefa Pardus, który jako rencista po pierwszej wojnie światowej, posiadał własne radio i często sam słuchał audycji z zagranicy, byliśmy dość dobrze poinformowani, o tym co się dzieje na froncie. Szczególnie często słuchaliśmy komentarzy z wojny, dlatego spodziewaliśmy się, że Niemcy uderzą na ZSRR. Za takie słuchanie radia NKWD przesłuchiwała mojego brata Kazimierza, musiał być na niego donos, ponieważ niespodziewanie wezwano go na posterunek do Włodzimierza. Na szczęście szybko go zwolniono.

Gdzieś w 1940 r. Sowieci rozpoczęli budować nad granicą całą linię potężnych bunkrów pod ziemią, nazywając tę operację „ukreplenie”. Do pracy, oczywiście darmowej, zmuszali okoliczną ludność. W chwili krytycznej, umocnienia te na nic się nie zdały bowiem Niemcy wcale nie usiłowali tych umocnień zdobywać, tylko błyskawicznie przeszli obok nich i poszli dalej. Gdy Niemcy weszli do naszej kolonii Piński Most w całej okolicy, wciąż było dość spokojnie i nie zauważyłem jakichkolwiek rozruchów antypolskich. Ukraińcy siedzieli dość spokojnie i nie widziałem także, aby wyrażali szczególną radość z przybycia Niemców. Bardzo szybko jednak porozumieli się z Niemcami i utworzyli policję ukraińską, która wysługiwała się faszystom. Najbliższy posterunek ukraińskiej policji powstał we wsi Gnojno.

W tym pierwszym okresie sytuacja w naszej okolicy nie uległa właściwie żadnym zmianom, nadal było wyjątkowo spokojnie i nie słyszałem, aby gdzieś w okolicy prześladowano ludność polską. Co więcej, nawet nie spotykało się jeszcze wrogich żartów, czy tym bardziej piosenek pod naszym adresem. Za to nasza społeczność, coraz boleśniej zaczęła odczuwać zorganizowaną akcję wysyłania polskiej, zdrowej młodzieży na przymusowe roboty do Niemiec. Co prawda, wyjeżdżali też Ukraińcy, ale jednak wydaje mi się, że przeważnie Polacy. Niemcy wydali przy tym zarządzenie, aby w każdym domu na ścianie wisiała karta informacyjna o całej rodzinie, kto mieszka w domu oraz kiedy się urodził. I tym razem mieliśmy szczęście bowiem z mojej rodziny nikogo nie zabrano na roboty. Tymczasem mój kolega Józef Pardus lat około 20, został na roboty zabrany, jak się później dowiedziałem przeżył koszmar bombardowań, przeżył wojnę i na stałe osiadł w Belgii. Po wojnie wiele razy przyjeżdżał jednak do Rogalina koło Strzyżowa na Hrubieszowszczyźnie, gdzie osiedli jego rodzice Józef i jego żona. Z Dominopola na roboty pojechała Janina Kołodziejczyk lat około 17, która może dzięki temu przeżyła wojnę i osiadła w Skierniewicach. Tam wyszła za mąż za Wójcikowskiego. Trzecią osobą którą pamiętam jest Antonina Uleryk lat około 20, ona również przeżyła wojnę i osiadła w Hrubieszowie, ale już pomarła.

ZAGŁADA ŻYDÓW

Od 1942 r. w naszym powiecie i przypuszczam, że na całym Wołyniu Niemcy rozpoczęli ostateczną rozprawę z Żydami. W tej strasznej zbrodni aktywnie pomagała im policja ukraińska. Tak naprawdę na większości terenów wiejskich, a szczególnie zalesionych, jeśli ktoś ścigał Żydów, to była prawie zawsze policja ukraińska. Niemiec bał się raczej w takie okolice zapuszczać. Dla przykładu szwab w poszukiwaniu Żyda w krzaki nie poszedł, a Ukrainiec tak, a właśnie w pobliskich krzakach nad rzeką Turią, ukrywało się wielu zbiegłych Żydów. Prawie wszyscy też zginęli z rąk ukraińskich siepaczy na miejscu, niekiedy prowadzono ich pod bronią do lasu i tam kazano im kopać dla siebie doły, w których następnie ich mordowano. Dla przykładu w poniemieckiej kolonii Wandywola, mieszkało dwie rodziny żydowskie, w tym Dawid ze swoją rodziną, żoną i dziećmi. Po pewnym czasie ukrywali się w krzakach nad rzeką Turią i właśnie tam schwytali ich Ukraińcy, gdy robili obławę w terenie. Zapędzili ich wtedy do Lasu Świnarzyńskiego, a potem kazali im kopać doły dla jakiś osób. Gdy to uczynili Ukraińcy rozkazali im się rozbierać. Widząc na co się zanosz Dawid rzucił się do ucieczki w głąb lasu i chociaż gęsto za nim strzelali zdołał uciec i ukrywał się w naszych stronach, aż do przyjścia Sowietów, niekiedy przychodził do naszego domu po żywność. Długo tak mu pomagaliśmy, zresztą nie tylko my bowiem wiele rodzin polskich z naszej kolonii udzielało mu pomocy. Było u nas na szczęście jeszcze dużo dobrych ludzi. Jednego razu, opowiedział mi właśnie historię zagłady jego własnej rodziny, mówił tak: **„Moją żonę, Ukrainiec przed zamordowaniem uderzył pięścią w twarz, tak mocno że powybił jej złote zęby, które miała wstawione! Potem ją i moje dzieci okrutnie zamordował i zakopał w lesie!”** Niestety nie znam nazwisk oprawców rodzin żydowskich, gdyż to byli ludzie obcy, głównie z Galicji na południu. Chcę podkreślić, że to byli bardzo paskudni

ludzie, byli nieprzyjemni i wyczuwało się od nich wrogość w stosunku do nas Polaków, przynajmniej od końca 1942 r.

ŚWINARZYŃSKA BANDA OUN-UPA

Od wiosny 1942 r. zaczynają w naszych stronach chodzić słuchy, że Ukraińcy, głównie policjanci ukraińscy w służbie niemieckiej, dopuszczają się brutalnych morderstw i prześladowań na wybranych Polakach, a nawet na całych rodzinach polskich. Mówiono coraz częściej z trwogą w sercach: „*Jak już kogoś napadli, to prawie na pewno zamordowali.*” Pierwszy głośny mord, który mocno utrwalił mi się w pamięci, to napad na rodzinę Rudnickich we wsi mieszanej polsko-ukraińskiej Chobułtowa. Słyszałem od ludzi, że całą rodzinę okrutnie zamordowali Ukraińcy. Podobny przypadek miał miejsce we wsi polskiej Augustów, gdzie na już skraju tej miejscowości, przy trakcie z Augustowa do Kisielina mieszkał Polak lat około 55 wraz ze swoją rodziną, żoną i dziećmi. Właśnie ich także napadli nocą Ukraińcy i wszystkich wymordowali, a dobytek puścili z dymem. Pamiętam, że to było w tym samym czasie co tragedia rodziny Rudnickich. Wiem o tym ponieważ widziałem to osobiście, gdy wierzchem jechałem tym traktem do wsi Rudnia, do mojej rodzonej siostry, która wyszła za mąż za Konstantego Dobrowolskiego. Gdy więc rano przejeżdżałem obok tego miejsca nie widziałem tam trupów, ale dom dopiero co się dopalał. Zauważył to także lotnik niemiecki, który krążył na tym miejscu. Od ludzi z naszej wsi słyszałem także, że podobne zdarzenie miało miejsce jeszcze we wsi Włodzimierzówka.

Moja ostatnia wigilia w rodzinnym domu była już bardzo smutna. Bardzo dobrze pamiętam ten wieczór jak siedzieliśmy przy stole i rozmawialiśmy o Polakach, którzy ginęli bez wieści. Łączyliśmy w bólu z tymi rodzinami które do tej chwili czekają, że tatusiowie jeszcze wrócą do domu, do mamusi, że przyniosą ze sobą choinkę z lasu, a może nawet jakiś ładny prezent od św. Mikołaja. Jak zwykle w nocy udaliśmy się całą naszą rodziną na uroczystą pasterkę, a po powrocie z Kościoła wspólnie kolędowaliśmy. Zaraz po świętach wchodziliśmy w nowy rok 1943, a nikt z nas nawet w najczarniejszych myślach nie przypuszczał, że właśnie ten rok, na setki następnych lat, zapisze się jako niezwykle tragiczny i brzemienne w swoich skutkach.

Koszmar rozpoczął się na wiosnę 1943 r., gdy ukraińscy policjanci porzucili służbę u Niemców i z bronią, nocą w zorganizowany sposób uciekli do lasu. Właśnie z tym wydarzeniem, wiąże się początek martyrologii narodu polskiego na Wołyniu. Od tego momentu tworzenie się band ukraińskich w lasach, nazywających się Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów – Ukraińska Powstańcza Armia (OUN-UPA) nabiera szczególnego tempa. Najwięcej Ukraińców zgromadziło się w naszych okolicznych lasach, przede wszystkim w Lesie Świnarzyńskim i w dużej wiosce ukraińskiej Wołczak. To była wieś położona między lasami, bardzo dogodne miejsce dla organizacji bazy partyzanckiej i to Ukraińcy wykorzystali w stopniu wysokim. Powstał tam cały sztab ukraiński o czym nasi ludzie doskonale wiedzieli. Tymczasem ukraińska banda rosła w siłę z każdym dniem bowiem wciąż przyjmowano nowych ochotników do UPA. Nie mogliśmy jednak wtedy przewidzieć jaką siłą dysponują, gdyż Ukraińcy wprowadzili bezwzględny zakaz kręcenia się po lesie, trudno więc było cokolwiek podejrzeć.

Słyszałem, że do Wołczaka i Lasu Świnarzyńskiego przyjechało dużo Ukraińców z Galicji i że to też była formacja OUN-UPA. Prawie wszyscy zostali zakwaterowani we wsi Wołczak, nie słyszałem, aby Ukraińcy kwaterowali także w domach rodzin polskich w Dominopolu. W czasie wojny nie wiedziałem nawet o tym, gdzie Ukraińcy kwaterują, tak się dobrze tajniaczyli, dopiero po wojnie opowiedział mi o tym Franciszek Mikulski, mój serdeczny przyjaciel ze wsi Wołczak. Franio mieszkał tam ze swoją polską rodziną w dużym, pięknym domu. Dziś już nie pamiętam jego rodziców z imienia, miał też siostrę, chyba Józefę lat około 19. Franio wspominał, że w jego domu mieszkało wielu ukraińskich oficerów,

którzy spotykali się prawie codziennie. Zapamiętałem nazwisko jednego z nich: Piśniuk. Człowiek ten znany już był wcześniej z jakiś funkcji, które pełnił w ukraińskiej policji, jeszcze w służbie Niemcom, a potem jako jeden z największych morderców ludności polskiej w naszej okolicy.

Od wiosny 1943 r. Ukraińcy przejawiali jeszcze jedną szczególną aktywność, całymi nocami wozili furmankami, chyba broń i sprzęt wojskowy, które wydobywali z sowieckich bunkrów. Widziałem to nie jeden raz bowiem przejeżdżali tuż obok naszego domu i wtedy wiele razy słyszałem ich ukraińskie rozmowy. Coraz częściej wzywano polskich gospodarzy, młodych, silnych, najczęściej po wojsku jako potrzebne im „podwody”. Niestety jak już ktoś do nich pojechał to już prawie nigdy do domu nie wrócił. Ludzie w naszej kolonii po cichu komentowali to, dość jednoznacznie: **„Ukraińcy skrytobójczo mordują naszych mężów i synów w lesie, dlatego wciąż nie wracają do swoich domów!”** W ten sposób zaginał bez wieści mój kuzyn Stanisław Hyps lat około 32 z naszej kolonii Piński Most oraz wielu innych, przede wszystkim z Dominopola.

POLSKO-UKRAIŃSKA WSPÓLPRACA

Jednocześnie Ukraińcy coraz częściej pojawiali się w polskich wsiach i koloniach i prowadzili ożywioną akcję propagandową. Namawiali młodych mężczyzn i chłopaków polskich, aby wstępowali do powstającego właśnie oddziału polskiej partyzantki w Dominopolu, który będzie walczył wspólnie z UPA przeciwko Niemcom. Osobiście widziałem ukraińskiego oficera, który jeździł na koniu i rozgłaszał tę wieść w naszej okolicy. Raz jeden zatrzymał się także obok mojego domu i nie zsiadając z konia zaczął ze mną o tym rozmawiać, pamiętam że powiedział wtedy do mnie takie słowa: **„Wasze młode chłopaki powinni się organizować w oddział partyzancki i razem z nami bić Niemców!”**. Ubrany po cywilnemu w płaszcz, mówił do mnie w języku ukraińskim, nie dostrzegłem też u niego broni. Zaraz po tych słowach zabrał się i pojechał dalej. Oficer ten miał około 35 lat i był dla mnie człowiekiem zupełnie nie znanym. Znałem natomiast wielu chłopaków, którzy do tego wojska zgłosili się na ochotnika, będąc wraźnie pod wpływem tej propagandy. Służyli tam dla przykładu: Eugeniusz Buczko lat około 20. Pozostali chłopcy byli z wielu różnych miejscowości, w tym z: Jesionówki. Ich kwaterą był budynek naszej dawnej szkoły podstawowej pod lasem, tam mieli swój wojskowy posterunek. Poubierani byli w mundury przedwojenne oraz wojskowe furażerki, na których widniał polski orzeł, choć nie wszyscy i większość, tak naprawdę chodziła, po prostu w ubraniach cywilnych.

Do momentu wymordowania wsi Dominopol, oddział liczył około 30 chłopaków, tak przynajmniej słyszałem od moich polskich kolegów, którzy w Dominopolu mieszkali. Ja sam osobiście, już do tej wsi nie chodziłem bowiem na moście przez rzekę Turię, Ukraińcy postawili silną wartę. Dwóch a może nawet trzech, dobrze uzbrojonych wartowników, stało tam dzień i noc, kontrolując wszystkich, którzy chcieli tamtędy przejść, bądź przejechać. A ja naprawdę nie miałem najmniejszej ochoty tłumaczyć się im choćby chwilę, dlatego wolałem do Dominopola nie chodzić.

ZDRADA BANDEROWCÓW – ZAGŁADA ODDZIAŁU DĄBROWSKIEGO

Słyszałem od ludzi we Włodzimierzu Wołyńskim, że ten oddział młodych chłopaków, który stacjonował w szkole został przez Ukraińców wyprowadzony w las na jedną z polan, a tam był już ustawiony wcześniej strzelec ukraiński z karabinem maszynowym. Gdy nasze chłopaki, nic zapewne nie wiedząc o ukraińskiej, haniebnej zdradzie, przystąpili do jakiś swoich ćwiczeń, odezwał się karabin, który zmiotł ich wszystkich, co do jednego. Tak zakończyła się niefortunna współpraca, która jeszcze raz obnażyła ukraińskie serca oraz ich zawartość. Zarazem po raz kolejny, na wieczność utrwaliła sławę polskiego żołnierza, wcale nie naiwnego, ale ponad wszystko wiernego Bożej, wiecznej, a zarazem romantycznej, jak polska dusza właśnie idei: **„Za naszą i waszą wolność!”** Niestety niektórzy synowie narodu

ukraińskiego nie byli i prawdopodobnie nadal nie są takiego ducha, który takimi ideałami żyje i który takimi słowami się karmi.

Z tej jatki uratował się tylko jeden chłopak, który w chwili likwidacji oddziału, nie był razem z innymi, ale mając przepustkę przebywał właśnie w swoim domu. Gdy 12 lipca, w poniedziałkowy ranek, wracał na służbę do oddziału wozem, odwoził go jego młodszy brat, jak zwykle na moście stali ukraińscy wartownicy, którzy zatrzymali ich do regulaminowej kontroli. Dziś jednak zachowali się nietypowo bowiem widząc kto przyjechał, wsiedli na wóz, tuż obok polskiego żołnierza i kazali się wieść do wsi. Gdy byli już w środku wioski, Ukraińcy nieoczekiwanie zażyczyli sobie, aby Polak zatrzymał się przy Krzyżu, na którym zawieszona była piękna figura Pana Jezusa. Tuż obok było gospodarstwo gajowego. Po chwili rozkazali, aby obaj bracia rozpoczęli kopać dół dla jakiegoś Żyda, którego schwytano i którego zaraz przywiezają, aby tu pochować. Nie mając innego wyjścia chłopcy zaczęli posłusznie kopać, choć sytuacja musiała im się już wydawać, co najmniej podejrzana i niepokojąca. Gdy już wykonali polecenie i dół był gotowy, ukraińscy oprawcy wydali chłopakom kolejny rozkaz: „**Rozbierać się!**” Gdy starszy usłyszał to polecenie, nie miał już wątpliwości, że ich chwile są już dosłownie policzone, dlatego nie mając nic do stracenia rzucił się do rozpaczliwej ucieczki. I chociaż za nim gęsto strzelali, to jednak zły człowiek strzela, ale Pan Bóg kule nosi. Zdołał uciec i przeżył, bo tak miało być, bo właśnie jego wybrał Pan, dobry i sprawiedliwy, jako świadka na wieczną hańbę dla Ukraińców i dla męczeńskiej sławy polskiego żołnierza. Bohatera wiernego swojemu powołaniu i służbie do końca, czasami nawet takiego, jak ten na polanie i ten pod Krzyżem, w wymordowanym już dzień wcześniej Dominopolu. Niestety jego brat został wtedy, prawie na pewno zamordowany bowiem od tej pory wszelki ślad po nim zaginął. Dziś już niestety nie pamiętam, kto mi tę historię opowiedział, ale jej szczegóły pamiętam doskonale. Wydaje mi się, że ten człowiek był gdzieś z okolic wsi Jasionówka, w każdym razie, gdzieś z tamtych stron.

POGROM DOMINOPOLA

Pamiętam, że 10 lipca w sobotę, w samo południe, ja i moja rodzina: mama oraz brat Kazimierz, wybraliśmy się naszą furmanką do odległej 16 km polskiej wsi Rudnia. Zamierzaliśmy tam dojechać jeszcze przed nocą. Po dotarciu na miejsce, nocowaliśmy u mojej rodzonej siostry, a w niedzielny ranek 11 lipca, zamierzaliśmy wybrać się razem do Kościoła w Kisielinie. To miała być msza święta, suma o godzinie 12.00, jednak ponieważ od rana padał gęsty deszcz i była wyjątkowo nieprzyjemna pogoda, postanowiliśmy jednak zostać w domu. **Nikt z nas w tym momencie nawet nie przypuszczał, że to niebo płacze nad ogromem nienawiści i zła, które pochłonęło tego dnia na Wołyniu tysiące niewinnych ofiar.** Do Kościoła w Kisielinie było z Rudni około 5 km, a my nie chcieliśmy moknąć na wozie w drodze. Czekaliśmy więc cierpliwie w domu na tych, którzy jednak wybrali się do Kościoła, pomimo takiej pogody. Tymczasem mimo upływu czasu ich wciąż nie było i nie mieliśmy żadnego pojęcia, co się właściwie z nimi stało, sądziliśmy że pewnie gdzieś jeszcze po drodze wstąpili. Nie mogąc już dłużej czekać, pomimo tego, że deszcz nieustannie padał i wciąż utrzymywała się bardzo nieprzyjemna mżawka, postanowiliśmy po południu wrócić do swojego domu w Pińskim Moście.

W drodze powrotnej, gdy przejeżdżaliśmy właśnie przez długą kolonię Wandywola, spostrzegliśmy, że z przeciwka jadą wprost na nas, furmanki wypełnione ukraińskimi banderowcami. W tym momencie nie było już czasu na ucieczkę, więc zdecydowaliśmy jechać dalej myśląc sobie w sercu: „**Co będzie!**”. Gdy ich mijaliśmy widziałem, że furmanek było około 10, a na każdej z nich siedziało od 7 do 8 rezuńów, uzbrojonych po zęby i w pełnej gotowości bojowej. Na szczęście nie zatrzymali nas i nie wypytywali skąd i dokąd jedziemy i po co. Czuliśmy jednak ich bardzo uważny i badawczy wzrok skierowany na nas, bardzo się w tym momencie bałem, inni też, jechaliśmy z duszą na ramieniu. Oczywiście nikt z nas

nawet nie przypuszczał, że oni jechali właśnie prawdopodobnie do wsi Rudnia, gdzie zamordowano bardzo wielu Polaków. Tak szczęśliwie dojechaliśmy do naszego domu, na dworze już robiło się ciemno, my tymczasem wciąż nie mieliśmy zielonego pojęcia, co się właściwie dzisiaj na Wołyniu wydarzyło. Spokojnie więc poszliśmy spać do swoich łóżek.

Tak więc gdy Ukraińcy rżnęli moich kolegów i przyjaciół w Dominopolu z 10 na 11 lipca, ja właśnie spokojnie spałem w dość odległej wsi Rudnia, dlatego nie jestem bezpośrednim, naocznym świadkiem pierwszej, najbardziej gwałtownej fazy mordu. Znam ją jednak dość dobrze z relacji naocznych świadków tych wydarzeń, których miałem łaskę osobiście poznać i wiele razy osobiście wysłuchać. A oto Ci których pamiętam do dziś oraz ich tragiczne losy:

10 – LATEK TRACZYŃSKI:

Już kilkanaście dni po napadzie na polską wieś Dominopol, do naszego miejsca zatrzymania przy ulicy Lotniczej, przyszedł młody chłopiec w wieku około 10 lat i prosił naszą rodzinę o pomoc. Przedstawił się jako Traczyński i gdy tylko trochę odpoczął, zaraz zaczął nam opowiadać, jaką tragedię przeżył osobiście i co się stało z jego najbliższą rodziną, mówił tak: *„W nocy na nasz dom napadli Ukraińcy banderowcy i gwałtownie włamali się do środka, gdy tylko znaleźli się już w domu od razu, bez żadnych słów, rozpoczęli bezlitośnie mordować moją najbliższą rodzinę. Zabili moją mamę i mojego tatę oraz moją siostrę, a ja w tym czasie zdążyłem ukryć się niepostrzeżenie za drzwiami, tak że mnie szczęśliwie nie zauważyli. Kiedy bandyci opuścili nasz dom, powoli i po cichu wysunąłem się na zewnątrz i zdołałem wydostać się z naszej wsi. Potem dotarłem do miasta Włodzimierz Wołyński.”* Niestety nie mogliśmy tej biednej sieroty przyjąć do siebie, ponieważ w tym czasie, też bardzo biedowaliśmy, dlatego poradziliśmy mu, to co w tym momencie, było dla niego najlepsze. Zachęciliśmy mianowicie chłopca, aby udał się i poprosił o pomoc ks. Kobyłeckiego, który zajmuje się właśnie organizowaniem pomocy dla sierot, których rodzice zginęli podczas trwających wciąż pogromów na ludności polskiej.

STANISŁAW I EDWARD ULERYK:

Gdy już byłem w polskiej partyzantce w Armii Krajowej, spotkałem tam dwóch braci Uleryków: Stanisława lat około 22 i Edwarda lat około 20, opowiedzieli mi wtedy wielką tragedię swojej najbliższej rodziny w Dominopolu, którą osobiście przeżyli, mówili tak: *„Nasz tato i dwie nasze siostry wybrali się, aby przerzucić siano na łące, która jest położona w środku wsi Dominopol i od tej pory wszelki ślad już po nich zaginął. My zorientowaliśmy tymczasem, że był napad na Dominopol i uciekliśmy do miasta Włodzimierz Wołyński. Tu zamieszkaliśmy z naszą rodziną na przedmieściu, na ulicy Lotniczej. Niestety ukraińscy bandyci i tu nie dali nam spokoju bowiem jednej nocy napadli znowu na naszą rodzinę i tym razem zdołali zabić naszą mamę oraz naszego młodszego brata. My obaj zdołaliśmy podczas napadu wyskoczyć z domu oknem i tak cudownie zdołaliśmy się potem uratować. Od tej pory kiedy straciliśmy wszystkich, wstąpiliśmy do polskiej partyzantki.”*

PAN BRONISŁAW KRASZEWSKI:

12 lipca rano do naszego domu przyszedł Polak Bronisław Kraszewski lat około 25 i zaczął nas wypytywać o swoją rodzinę, która również mieszkała we wsi Rudnia. Z tego co mi wiadomo mieszkała tam jego mama i rodzeństwo, w tym chyba brat Stanisław. Tej nocy, w której Ukraińcy napadli na Dominopol, przebywał właśnie u swojej panny Zienkiewicz, którą czasami odwiedzał, a która mieszkała na kolonii Wandywola. To było już dość blisko Kościoła w Swojczowie. Ponieważ nic nie wiedzieliśmy, poszedł dalej do swojej wsi, przed wyjściem wspomniął tylko, że nie będzie szedł przez most, aby nie doznawać przyjemności oglądania ukraińskich wartowników. Po latach spotkałem go ponownie, a on opowiadał mi tak: *„Gdy od was wyszedłem udałem się prosto nad naszą rzekę Turię, przeszedłem ją i*

ruszyłem w kierunku samej wioski. W pewnym momencie wszedłem na ogród rodziny Traczyńskich gdzie rósł duży tytoń, który jednak był wyraźnie przez kogoś wytalowany i leżał na ziemi. Byłem ciekawy co to takiego i poszedłem w tym kierunku. **Nagle natknąłem się na świeżo wykopany dół, w którym leżeli niedawno, co pomordowani ludzie. To było kilka osób w różnym wieku. Jak tylko to zobaczyłem rzuciłem się do ucieczki, tą samą drogą którą przyszedłem.**”

Antoni Sienkiewicz: Jest mi także wiadome, że na Dominopolu mieszkała młoda dziewczyna Antonina Uleryk lat około 12. Podczas napadu Ukraińcy włamali się do ich domu i zaczęli mordować jej rodzinę. Następnie już pobitych składali na kupę, tak zginęła jej siostra Rozalia oraz jej mama i tato. Antonina też została przebita bagnetem i straciła przytomność, to właściwie uratowało jej życie, po jakimś czasie odzyskała bowiem świadomość i zdołała wydostać się z domu. Chociaż Ukraińcy zauważyli, że w domu brakuje jednej osoby, już jej nie znaleźli ponieważ zdołała ukryć się w krzakach. Gdy nadeszła noc przeszła przez rzekę Turię i udała się do Swojczowa gdzie miała dużą rodzinę i gdzie spodziewała się znaleźć pomoc. Na szczęście nie pomyliła się, jej bliscy udzielili jej pomocy i niedługo później znalazła się we Włodzimierzu Wołyńskim.

DZIEŃ PO POGROMIE - POZNAJEMY TRAGICZNĄ PRAWDĘ

W poniedziałkowy ranek, to był już 12 lipca wstaliśmy dość wcześnie bowiem zapowiadała się przepiękna pogoda, jakże różna od wczorajszej. Moja mama postanowiła to od razu wykorzystać i zabrała mnie oraz brata Eugeniusza na naszą łąkę, gdzie grabiliśmy siano. W tym momencie byliśmy zaledwie 700 metrów od pierwszych zabudowań, wymordowanej już przez Ukraińców wsi Dominopol. Ale ani ja, ani nikt z nas, nie zauważyliśmy jak dotąd żadnych, niepokojących nas znaków, co prawda dochodziły do nas pojedyncze strzały od wioski, ale nawet one, nie wzbudziły u nas podejrzliwości i niepokoju. Co innego wielki dym na niebie, wielka chmura dymu, od strony wsi Rudnia, od razu poznaliśmy, że to nie jest zwyczajny pożar, ale że musiało się tam wydarzyć, właśnie jakieś nieszczęście. Póki co, wciąż nie wiedzieliśmy, że tam właśnie giną od ukraińskiej kosa, bądź już zostali zamordowani nasi najbliżsi. O tym dowiedzieliśmy się dopiero w mieście we Włodzimierzu Wołyńskim.

Po pewnym czasie przechodziły przez tę łąkę, na której pracowaliśmy, nasze sąsiadki Stanisława i Konstancja Zymon. To były dwie rodzone siostry, Polki, lat około 20 i 23. Zatrzymały się przy nas i powiedziały tak: „**Wy nic nie słyszeliście! Jeszcze przy sianie robicie, a cały Dominopol wymordowany!**” Po tych słowach ręce nam opadły i już nie mieliśmy ochoty dłużej pracować. Dziewczyny tymczasem poszły dalej, przepawiły się przez rzekę Turię i poszły dalej w stronę wsi Dominopol, prawdopodobnie do Polaka Mikołaja Zymon. Od tej pory nie wiem, co się z nimi stało, słyszałem, że Mikołaj lat około 40, jego żona lat około 40, z pierwszego męża Buczko oraz dwoje ich dzieci lat 2 i 5, wszyscy zostali zamordowani przez Ukraińców.

Jeszcze brzęczały nam w uszach, te straszne słowa, a już otworzyły się nam także oczy i zobaczyliśmy, że po ogrodach i sadach całej niemal wsi chodzą sobie samopas zwierzęta, a nikt nie stara się je stamtąd przegnać. Jak okiem sięgnąć nigdzie nie mogłem dojrzeć nawet jednej żywej duszy, nie było widać nawet jednego dymka z kominka. To wydawało się nam rzeczywiście bardzo podejrzane i niezwykle groźne, w tej sytuacji szybko wróciliśmy do swojego domu i opowiedzieliśmy pozostałym ostatnie nowiny. Z tą chwilą wszystkich ogarnął wielki strach, siedzieliśmy przerażeni w domu i nigdzie, nawet na chwilę nie wychodziliśmy. Jednak jeszcze tego samego dnia, już z ukrycia zobaczyliśmy jak traktem tuż obok naszego domu, co chwilę jedzie ukraińska furmanka z rodziną, co ciekawe zaprzęgnięta w konie, należące jeszcze niedawno do polskich gospodarzy. A muszę tu podkreślić, że

znaliśmy te konie bowiem nasza łąka przylegała przez Turię do pastwisk Polaków z Dominopola, dlatego nie mieliśmy większych kłopotów z ich rozpoznaniem.

NA DRUGI DZIEŃ - PO RZEZI DOMINOPOLA

Noc z 12 na 13 lipca ja i mój brat Kazimierz spędziliśmy w zbożu, w wysokim życie, które w tym roku wyjątkowo pięknie obrodziło. W środku nocy, znowu posłyszeliśmy jadących w stronę Dominopola, tym razem na własne oczy zobaczyłem ludzi wiezionych w stronę wybitej wsi. Tym razem to była bardzo znana i lubiana w naszych stronach grupa polskich muzykantów, którzy w większości wywodzili się z jednej rodziny polskiej, o nazwisku Struś. Widać było Ukraińcy gdzieś ich dorwali, wsadzili na furmankę, pewnie nawet przemocą i kazali sobie grać po drodze do Lasu Świnarzyńskiego. Od tej chwili wszelki słuch po nich zaginął, jestem prawie pewien, że zostali skrytobójczo i okrutnie zamordowani, może nawet jeszcze tej samej nocy. Tymczasem w moim domu ważyły się nasze losy, nasz brat Kazimierz czując, że nie ma chwili do stracenia zdecydował, że jedzie do swojego teścia, do wsi Nowy Oseredek, a trzeba tam było pokonać ok. 9 km. Podczas tych przygotowań zdecydował się zabrać także i mnie, kiedy podjąłem decyzję, że ja również chcę z nimi w tym momencie jechać. Póki co, byłem przekonany, że jeszcze tu wrócę i wcale nie zamierzałem jeszcze uciekać, choć jak już podkreślałem, wciąż nie byliśmy pewni, tak do końca tego, co się właściwie wydarzyło w Dominopolu. Byliśmy już niemal jednak pewni, że siostry Zymonówne miały niestety rację.

Ledwie ujechaliśmy 1 km drogi zobaczyliśmy Ukraińca na koniu, który jechał od strony Gnojna i miał kosę na ramieniu. Gdy nas mijał, zatrzymał się i zaczął nas wypytywać tymi słowami: „*Szo na Hularni czuty?*”. Chodziło mu oczywiście o wieś polską Dominopol, gdzie dawniej była znana w okolicy gorzelnia, stąd w naszych stronach wielu ludzi, a szczególnie Ukraińcy, mówili na Dominopol także „hularnia”. Odpowiedzieliśmy siląc się na spokój, że nic nie wiemy, co się tam dzieje. Wtedy on do nas tak: „*Wy wtekajete!*” My jednak nie wiedząc wciąż jakie ma intencje, gwałtownie zaprzeczyliśmy, a on dodał jeszcze: „*Wtekajte, wtekajte, was i tam znajdut!*” Po tych słowach pojechał sobie dalej, a my już bezpiecznie dotarliśmy boczną drogą do wsi Nowy Oseredek. Ledwie tam przyjechaliśmy, a już nam nasza rodzina mówi: „***Uciekajcie dalej bowiem w naszych stronach, jest dziś również bardzo niebezpiecznie dla Polaków. Ukraińcy bezlitośnie mordują naszych ludzi i nikt nie ma od banderowskiego noża taryfy ulgowej!***” Był tam dla przykładu Polak, chyba nazywał się Stanisław Burliński lat ok. 26, który brał udział w Kampanii Wrześniowej 1939 r. I jako żołnierz polski dostał się do niemieckiej niewoli. Po pewnym czasie jakiś niemiecki Bawor zabrał go do siebie na gospodarstwo, aby pracował niewolniczo dla III Rzeszy. Ponieważ dobrze się sprawował Niemiec wystawił przepustkę, aby mógł na krótki czas wyjechać na Wołyń, na taki urlop do swojego domu. Tak więc od pewnego czasu przebywał już w swoim rodzinnym domu. I właśnie tego samego dnia 13 lipca, kiedy my przyjechaliśmy do naszego brata, po niego przyszli do domu Ukraińcy i zabrali go przemocą ze sobą do lasu. Od tej pory, jak zwykle wszelki słuch już po nim zaginął, kolejna bardzo prawdopodobna ofiara banderowskich zbrodniarzy. O jego zabraniu dowiedzieliśmy jeszcze tej samej nocy i widząc, co się dzieje postanowiliśmy, że rano uciekamy do miasta Włodzimierz Wołyński. 14 lipca w środę, raniutko powsiadaliśmy na furmankę, a następnie ile konie miały sił w nogach przejechaliśmy przez wieś, a potem nie zatrzymywani już przez nikogo dotarliśmy szczęśliwie do samego miasta.

WE WŁODZIMIERZU WOŁYŃSKIM

W mieście zatrzymaliśmy się na ulicy Lotniczej w mieszkaniu pana Zbarawskiego. On sam i jego rodzina, wszyscy zostali wywiezieni w roku 1940 na Syberię. Jest mi dla przykładu wiadomo, że dwóch synów pana Zbarawskiego wstąpiło potem do armii gen. Władysława Andersa, a rodzice niestety zginęli na strasznej Syberii. Życie w mieście było dość ciężkie, w

pierwszych dniach nie mieliśmy właściwie środków do życia, a właściwie na każdym kroku spotykaliśmy rodaków, którzy naprawdę potrzebowali pomocy. Choćby już opisywany 10-letni Traczyński. Taka była wtedy codzienna rzeczywistość, płacz, ból i cierpienie oraz paraliżujący wszystkich strach, że Ukraińcy mogą nawet pokusić się o napad na samo miasto Włodzimierz Wołyński. Każdego niemal dnia można było spotkać kogoś znajomego, kto opowiadał o swojej osobistej tragedii, spotkałem więc w końcu, także wiernych z Kisielina, którzy opowiedzieli nam, jaki los nacjonałiści ukraińscy zgotowali im w niedzielę 11 lipca, podczas nabożeństwa w Kościele. To oni także poinformowali nas, że większość mieszkańców wsi Rudnia, została brutalnie wymordowana 12 lipca, także przez ukraińskich rezunów.

Podczas rzezi we wsi Rudnia zginął mój szwagier, który został wyprowadzony przez Ukraińców ze swojego domu na podwórko i tam go brutalnie zamordowano. Gdy moja rodzona siostra to zobaczyła, złapała ich dziecko na swoje ręce i drugimi drzwiami wyskoczyła na zewnątrz. Będąc już na dworze uciekała dalej, ile tylko miała sił, aby dalej od Rudni, aby dalej od strasznych bandytów. Tak przez las dotarła do naszego kuzyna Jana Hypsa i tam przebywała przez pewien czas, właściwie do momentu kiedy nasza mama wybrała się po nią swoją furmanką. Razem już przyjechały do naszego domu w kolonii Piński Most, gdzie wszyscy już wiedzieli, co się stało w sąsiednim Dominopolu, a jednak zdecydowali się na razie pozostać na miejscu. A kiedy jeszcze przyszło zaopiekować się małym dzieckiem, decyzja o ucieczce nocą do miasta, stała się jeszcze trudniejsza.

NAPAD NA KOLONIĘ PIŃSKI MOST

Sytuację tę wykorzystały ukraińskie wilki, wciąż nienasycone Lacką krwią, napadli w sierpniu 1943 r. na naszą kolonię i dokończyli już wcześniej rozpoczętego dzieła. Moi rodzice i moja siostra zostali zamordowani na swoim podwórku, zaraz po zakończeniu żniw. Wiem o tym dobrze, ponieważ mój brat Kazimierz Sienkiewicz spotkał pewnego dnia na ulicy Włodzimierza, znajomego Ukraińca ze wsi Zarudle o nazwisku Łukijan Romaniuk, który przywiózł drzewo na sprzedaż. On to właśnie opowiedział bratu następującą historię: **„Jechałam na pole (w stronę wsi Wołczak) swoim wozem i widziałam Twoją rodzinę jak spokojnie siedziała przy swoim mieszkaniu. Jednak gdy tego samego dnia, wracałam z pola do swojego domu, wszyscy byli już zamordowani. Widziałam ich ciała, leżące w waszym ogrodzie, jeszcze nie pochowane.”**

W naszej kolonii w sierpniu 1943 r. (najprawdopodobniej) zostali zamordowani także: Okapiec Maciej lat ok. 65 i jego żona lat ok. 60 i ich syn Jan lat ok. 13 oraz dziadek Zymon lat ok. 83 i jego synowie: Adolf lat ok. 40, Stanisław lat 35 i chyba Jan lat ok. 32. Ostateczna rozprawa z mieszkańcami naszej kolonii została poprzedzona w lipcu 1943 r., innym aktem terroru, który jeszcze bardziej sparaliżował miejscową społeczność Polaków. Ukraińcy jednego dnia zabrali z drogi 5 polskich mężczyzn, w tym Antoniego Bydychaja, Eugeniusza Hypsa, Adolfa Burlińskiego, Władysława Wawrynowicza oraz Antoniego Hasiaka. Następnie osadzili ich wszystkich w Gnojnie, a potem dwóch uzbrojonych wartowników ukraińskich zawiozło pięciu silnych, młodych Polaków do Lasu Świnarzyńskiego i od tej pory wszelki słuch po nich zaginął. Furmanka na której ich wieziono, należała do Ukraińca, który też powoził, on to właśnie mówił później do swoich sąsiadów tak: **„Jakie durne chłopcy, dali się pobić tylko dwóm rezunom!”** Wydarzenie to miało miejsce zaraz po wymordowaniu wsi Dominopol, gdzieś około 15 lipca.

Tymczasem ja we Włodzimierzu rozpocząłem pracę w zakładzie szewskim bowiem już trochę znałem się na tym fachu, niestety nie trwało to długo, gdyż zachorowałem na bardzo poważną chorobę. To była Krwawa Dezynteria, tak trafiłem do szpitala zakaźnego we Włodzimierzu. Długo tam leżałem i bardzo się w tym czasie męczyłem bowiem to była naprawdę ciężka choroba, ale mój organizm walczył zażarcie o życie i w końcu choroba

została pokonana. Wyszedłem z tego, ale byłem bardzo poważnie osłabiony, jednak ledwie trochę odżyłem, a już nawiązałem kontakt z polskimi partyzantami na Bielinie.

PARTYZANCKA SŁUŻBA NA BIELINIE

Po pewnym czasie wstąpiłem do polskiej partyzantki, gdzie spotkałem dwóch barci Uleryków, właśnie oni opowiedzieli mi o tym co przeżyli we wsi Dominopol. Tak naprawdę to były dopiero początki polskiego wojska, ale okazało się, że jestem potrzebny bowiem nasi partyzanci na gwałt potrzebowali dobrych butów. A ja przecież byłem już w tym fachu niezłym wyrobnikiem, dlatego w tej swojej służbie Bogu i ojczyźnie, naprawiłem nie jedną zniszczoną już parę wojskowego obuwia. Tym bardziej, że szła ciężka zima 1944 r., tak więc gdy moja rodzina została w domu w mieście, ja spieszenie udałem się na Bielin i tam na razie zostałem. Znalazłem się w „Gromadzie” w II batalionie, w I kompanii pod dowództwem Lecha Krassowskiego ps. „Lech”, dowódcą kompanii był por. Bronisław Bydychaj ps. „Czech”. Mieszkałem tak jak inni, wszędzie tam gdzie się dało, trochę u gospodarzy, trochę w stodołach, a czasami w opuszczonym domu. Należałem do plutonu gospodarczego i miałem za zadanie pilnować niekiedy konie, należące do partyzantów. W tej służbie nie omijała mnie też warta, która była dość ciężka i zawsze bardzo niebezpieczna.

Tymczasem mój brat również postanowił walczyć w obronie polskiej ludności przed ukraińskimi bandami, dlatego wstąpił do polskiej policji w służbie Niemców, która kwaterowała w Maciejowie na Wołyniu. Ta bardzo dobrze dozbrojona przez Niemców jednostka, gdy tylko zaczęła się formować polska 27 Wołyńska Dywizja Piechoty Armii Krajowej, niespodziewanie rozbroiła Niemców. A następnie porzucając służbę u nich, wraz z całym sprzętem, w jaki była dobrze wyposażona, przeszła do polskiej partyzantki na Bielinie. Od tej pory moje losy i mojego brata związane są z dywizją oraz z jej dramatycznym, ale jakże chwalebnym szlakiem bojowym. Byliśmy dla przykładu podczas przebijania przez pierścień niemieckiego okrążenia w Jagodzinie, w rejonie stacji kolejowej. Większość naszych chłopaków przeszła, ale nam się to nie udało i dostaliśmy się do niemieckiej niewoli.

W NIEMIECKIEJ NIEWOLI

Niemcy początkowo odesłali nas do Lubomla i tam umieścili nas w stajni, potem uważnie przesłuchiwali. Następnie przewieźli nas pod strażą do Chełma i tu zamknęli nas w baraku za kolczastym drutem. Było nas dużo chłopaków, przeszło 100 z różnych stron, ale w wszyscy wcześniej należeli do 27 Wołyńskiej DP AK. Tam przebywałem od maja do połowy czerwca 1944 r. W Chełmie wielu naszych zaczęło poważnie chorować na tyfus plamisty, a niektórzy nawet z tego powodu pomarli. Ponieważ Niemcy nas raczej słabo pilnowali, wraz z trupami uciekł jeden z naszych, nazywał się Turski.

Było już z nami bardzo krucho, na szczęście zainteresował się nami Polski Czerwony Krzyż. Jeden z porządniejszych Niemców, poradził nam, abyśmy napisali na kartce swoje imiona i nazwiska, a on postara się dostarczyć je komu trzeba, aby zainteresowali się naszym losem. I rzeczywiście PCK szybko nawiązał z nami kontakt i od tej nie brakowało nam przynajmniej chleba. Ale wkrótce Niemcy przewieźli nas do Brześcia, gdzie siedzieliśmy za drutami do lipca 1944 r. Potem Niemcy przewieźli nas do Prus Wschodnich, tam trafiliśmy do strasznie wielkiego obozu, gdzieś w okolicy Bałtyku. Zauważyłem, że są tam ludzie z całej Europy, w także wielu bardzo z Polski. Ale niestety nasza poniewierka nie skończyła się i tym razem bowiem Niemcy przewieźli nas w jeszcze inne miejsce i tam byliśmy gdzieś do września 1944 r. Wtedy ogłosili, że można udać się do pracy u Niemców na dużych majątkach, ja też się zgłosiłem. Powieźli nas więc gdzieś w okolice Kołobrzegu i tam razem z innymi więźniami zbierałem kartofle. W tym majątku pracowałem do wiosny 1945 r., gdy nas ewakuowali jeszcze bliżej morza.

Jednego dnia zgromadzili nas wszystkich i popędzili pieszo przed siebie, ja tymczasem ukryłem się w słomie i tam siedziałem. Gdy znaleźliśmy się w nowym miejscu

ujawniłem się spokojnie, jak gdyby nigdy nic i dalej pracowałem tak jak inni. Pewnego dnia jakiś Hitlerowiec dowiedział się, że umiem robić buty i zlecił mi zrobienie butów dla siebie, gdy skończyłem on miał gest i podziękował mi chlebem i gorzałką. Tymczasem już następnego dnia, byli u nas Sowieci, wyzwalając nas ostatecznie spod niemieckiego bata.

Spisane powyżej świadectwo, które osobiście podyktowałem panu Sławomirowi Roch w moim domu we wsi Moroczyn w dniach od 24.09 do 26.09.2003 r. , zostało mi przeczytane po przepisaniu, w samo święto Ofiarowania Najświętszej Marii Panny 21.11. 2003 r. , a prawdziwość zawartych w nim treści potwierdzam własnoręcznym podpisem.

Antoni Sienkiewicz

P.S.

Powyższe wspomnienia zatem, zostały spisane i opracowane już w roku 2003, aby rok później stanowić ważny rozdział książki: „Prowadź Mario Prowadź Nas Męczenników Wołynia” , której drugą wersję ukończyłem w maju 2005 r. w Zamościu. Egzemplarze książki przesłałem do kilku ważnych archiwów w Polsce, w tym na Jasną Górę w Częstochowie oraz na Katolicki Uniwersytet Lubelski w Lublinie (na KUL w 2009 r. , jako mój protest przeciwko nadaniu prezydentowi Ukrainy Wiktorowi Juszczenko tytułu doktora h. c.).

Pozostaje w kontakcie z wieloma osobami z Polski, które wciąż nadsyłają swoje relacje i uzupełniają ważne informacje o losach swoich najbliższych, na których wspomnienia natrafili w Internecie. Osoby te mając dostęp do nowych, nieznanymi mi jeszcze faktów, nasyłają bardzo cenne materiały, które ja uważnie zamieszczam w książce. I tak, z Bożą pomocą, wciąż rozrasta się, bezcenna praca: „Prowadź Mario Prowadź Nas Męczenników Wołynia” , o losach mieszkańców katolickiej parafii Narodzenia Najświętszej Marii Panny w Swojczowie, podczas ostatniej II wojny światowej.

Powyższe wspomnienia Antoniego Sienkiewicza zostały opracowane po latach, po raz drugi, tym razem na użytek internetu. Zdaję sobie sprawę, że i to opracowanie nie jest jeszcze w pełni profesjonalne, ale na pewno bardziej dostępne dla potencjalnego czytelnika, a przez to, więcej użyteczne. Pragnę w ten sposób także, gorąco zachęcić wszystkich, żyjących jeszcze parafian ze Swojczowa i okolic, ale nie tylko, także z całego Wołynia i Kresów do spisania swoich wspomnień, przeżyć i doświadczeń z tamtych jakże pięknych, a potem jakże dramatycznych lat. Raz dlatego, by dziedzictwo i ciężka praca naszych przodków, nigdy nie była puszczona w niepamięć, a dwa by Ci wszyscy, którzy pozostali tam już na zawsze, w końcu doczekali się choćby, prostego Krzyża katolickiego na swojej, jakże często zapomnianej już dziś mogile.

Z poważaniem
Mgr historii Sławomir Tomasz Roch